

IMPRESJE BARDZO PRYWATNE

NINA ANDRYCZ /

Profesor Aleksander Bardini, jako artysta o wyraźnych ambicjach wychowawczych, miał zarówno wobec siebie, jak i wobec swoich uczniów wystrzone poczucie godności zawodowej. Często się zastanawiał nad zmianą kondycją aktorską w otaczającym nas świecie. Oceniał nad wyraz trafnie możliwości naszego oddziaływania na odbiorców sztuki i vice versa.

Tę swoją wnikliwość, wszechstronność zainteresowań oraz etykę zawodową wyniósł bez wątpienia ze sławnej, przedwojennej szkoły, prowadzonej przez jeszcze młodego Aleksandra Zelwerowicza. Z wielkiej wdzięczności dla swojej uczelni zwierzył się na sesji naukowej, która się odbyła w roku 1982 z okazji pięćdziesięciolecia Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. W gmachu przy ulicy Miodowej oznajmił bowiem wszem i wobec, że trzy lata spędzone w szkole - to najszczęśliwsze lata jego życia. Do zebranych na sali przemawiał oczywiście jako uznany pedagog, Aleksander Bardini. Ale dla mnie siedzącej w drugim rzędzie i z trudem ukrywającej wzruszenie - mówił mój szkolny kolega, Sasza. Oboje mieliśmy wyjątkowe szczęście skończyć właśnie tamtą szkołę.

Powiedz mi, kto cię uczył, a będę wiedziała, co możesz umieć. (Przynajmniej w przybliżeniu...). Dlatego chcę teraz przypomnieć, zwłaszcza młodszej generacji aktorskiej, listę profesorów gry scenicznej, którzy raczyli nam wykładać. Dziś jest to już gwiazdociąg nazwisk historycznych.

Leon Schiller - zbiorowa gra sceniczna i później reżyseria.

Aleksander Węgierko - gra sceniczna i reżyseria. Stefan Jaracz - gra sceniczna. Stanisław Stanisławski - mówienie wiersza, gra sceniczna. Jadwiga Turowicz - dykcja, plastyka słowa, ćwiczenia ruchowe, proza i wiersz. Karol Husarski - historia teatru. Ruth Sorel oraz Paula Nireńska - taniec. Janina Mieczysława - rytmika i plastyka. Konrad Tom - piosenka kabaretowa. No i Aleksander Zelwerowicz - wszystko, co dotyczy teatru, ze szczególnym uwzględnieniem improwizacji. Na każdy temat.

Takie oto sławy uczyły studenta Aleksandra Bardiniego, a że z natury był muzyczny - miał uszy ku słuchaniu.

Na szkolnej fotografii przedstawiającej etiudę ruchową pod tytułem *Rozwiedźmy się*, którą dołączam do tego artykułu, można zobaczyć, że rozwodzą się Kazimierz Pawłowski z Karin Tiché, a obserwują ich gwałtownie protestująca panna Andryczówna i ironicznie zdziwiony Sasza Bardini w gronie innych kolegów.

Ówczesna szkoła dramatyczna zaszczepiła Bardiniemu wysokie pojęcie o sztuce teatru. A dodatkowe lata studiów na wydziale reżyserskim, pod opieką Schillera i Węgierki, ukształtowały go już jako twórcę spektaklu, inscenizatora, który umie poprowadzić aktorów.

Rozstaliśmy się we wczesnej młodości jako Sasza i "Andriusza", nie wiedząc jeszcze, od ilu czynników zewnętrznych i niekoniecznie miarodajnych uzależniony jest teatr w Polsce.

Początki artystyczne miał podobno trudne, ale o tym powinni pisać autorzy biografii. Myśmy się spotkali po latach na wielkiej scenie Teatru Polskiego. A był to sezon 1951-52. Bardini reżyserował *Intrygę i miłość* Fryderyka Schillera, a ja grałam jedną z najukochańszych ról mego życia, Lady Milford. Postać kontrowersyjną, trudną, z którą się zmagalam jeszcze jako studentka. Tym razem, w Teatrze Polskim, partnerował mi nieodżałowany Mieczysław Milecki. Dekoracje wewnątrz były dziełem Jana Kosińskiego, a przepiękne kostiumy zaprojektowała Zofia Węgierkowa. Ponieważ historycznie był to jeszcze okres stalinowski i socrealistyczny - zaczęliśmy próby w euforii... Oto trafił się nam nie produkcyjniak, nie *Pociąg pancerny*, tylko utwór o niewątpliwych wartościach humanistycznych, w dodatku ze świetnie napisanymi rolami. Obsadzony w jednej z nich, starszy aktor rodem z "Habimy" pan Godik powiedział na pierwszej czytanej: "Tę sztukę trzeba zagrać z jajami!" "Ale nie z wapiennymi" - odparł Bardini. Pracowaliśmy pełni entuzjazmu, a jednocześnie bardzo zdyscyplinowani.



Na zajęciach PIST-u (1934). Trzecia z lewej Nina Andrycz, pierwszy z prawej Aleksander Bardini. Z archiwum Niny Andrycz

Reżyserskie uwagi Bardiniego były zawsze dowcipne, podane w sposób przyjazny, łatwy do zaakceptowania.

Na pierwszej generalnej powiedział mi: "Nie eksponuj swojej urody".

"Alboż ją eksponuję? Kiedy?" "Jak zobaczyłem twój dekolt - to przestałem słuchać tekstu."

"No, Saszku, ale to już nie moja wina. Zresztą Lady Milford musi mieć piękne ciało, żeby ów księżę upatrzył ją sobie w tłumie."

Intryga i miłość miała wielkie powodzenie. Grałam ją w sumie trzysta dwadzieścia razy. A więc ponad trzy lata. Na zażalenie jakiejś organizacji, iż nie można zdobyć biletów ulgowych, poczytny *Express Wieczorny* odpowiedział krótko: "Będą w przyszłym roku". Ale wtedy jeszcze nie istniała telewizja. Gdy o przedstawieniu mówiono dobrze - tłum szturmował kasy Teatru Polskiego.

Muszę podkreślić, że Bardini wydobyl z barokowej formy Schillerowskiego dramatu żywą i wiarygodną treść. Omijając wielostopniową romantyczną emfazę - ukazał prawdę ludzkich uczuć i charakterów. Ta zaś przemawia w każdej epoce, a zwłaszcza w socrealistycznej. Moja Lady Milford - na przykład - była nie tyle szlachetną kurtyzaną panującego księcia, ile bardzo prawym i odważnym człowiekiem. Miała wielki głód szczęścia, lecz współczuła cierpiącym poddanym i buntowała się przeciw tyranii. Cóż dziwnego, że takie pobudki działania jednały jej serca widzów. Budowałam koncepcję roli w absolutnej zgodzie z reżyserem. Powtórzyłam ją wiernie na moich występach gościnnych w Poznaniu w roku 1955. Pewne zasadnicze elementy roli - przedyskutowane i ustalone z Bardininem - zachowałam nawet w późniejszej inscenizacji Wandy Laskowskiej, również na deskach Teatru Polskiego, w roku 1969. Bardini żartował: "Ale ci ta Milfordzica procentuje!". Istotnie - pojawiła się jeszcze w studiu telewizyjnym, *W moim programie* z roku 1974. Później nawet w klubie przy hucie szkła w Sandomierzu.

Aleksander Bardini dawno rozstał się w Teatrem Polskim, podarowawszy mu pierwszą powojenną inscenizację *Dziadów*. Pracował w Teatrze Współczesnym, reżyserował w Operze. Czasem spotykaliśmy się prywatnie, w Konstancinie pod Warszawą. Wtedy rozmawialiśmy godzinami o złotych i tombakowych latach naszego teatru. O niebezpieczeństwach cywilizacji konsumpcyjnej i o oglupiających "nasiadówkach" przed telewizorem lub wideo. Na prośbę Saszy wzięłam udział w wieczorze jubileuszowym z okazji jego osiemdziesięciolecia. Uroczystość niezwykle się udała, bo pod batutą Stanisława Tyma zamieniła się we wspólną pogodną zabawę. Wtedy właśnie pokazałam zebranemu szczupłemu studenta na szkolnej fotografii. Jubilat był wyraźnie wzruszony. Nie wiedziałam, że więcej się nie spotkamy, że już nikt na świecie nie nazwie mnie "Andriuszą" i że chyba nie ma już z kim wspominać tamtej szkoły.